



MICHAŁ BIARDA

365 dni
Grażynki

MICHAŁ BIARDA

365 dni
Grażytki

Wydanie I
ISBN 978-83-966279-5-7

© Michał Biarda, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Katarzyna Smardzewska
Korekta: Magdalena Marciniak
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta techniczna: Aga Dubicka – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Agnieszka Makowska
Zdjęcie na okładce: Татьяна Танатова
Grafika w przerywnikach: Татьяна Олина – Vecteezy.com

Znajdź mnie w social mediach!
Facebook: Michał Biarda - strona autorska
Instagram: @michal.biarda.autor

*Dla wszystkich Grażynek tego świata,
oby każda z Was znalazła swojego Massimo*

Prolog

– Grażynko! – Przez cienkie ściany pokoju przebił się świergotliwy głos mojej rodzicielki. – Wstałaś już?!

„Idealne wycucie czasu” – pomyślałam zdenerwowana. „Jak zwykle zresztą...” Nie wiem, jak ona to robi, ale kiedy tylko najdzie mnie ochota na poranny romans z Panem Różowym, w ośmiu na dziesięć przypadków ona wyczuwa to jakimś szóstym zmysłem i – świadomie lub nie – przerywa nam nasze tête-à-tête. Tyle dobrego, że dzisiaj wcięła się, zanim jeszcze wszystko się na dobre zaczęło.

– Tak, mam! – odwrzasnęłam.

W tego typu sytuacjach trzeba było odpowiadać szybko. Wystarczyłoby parę sekund zwłoki i zaniepokojona matula stałaby już w drzwiach mojego królestwa, wkładając mi pod pachę termometr, bo „jestem jakaś taka rozpalona i chyba mam gorączkę”. Skąd wiem? Cóż, z autopsji.

– Jak zwleciesz się z łóżka, podejdź no tu do mnie!

– Dobrze!

Zwinęłam sztywnego kolegę spomiędzy nóg i wpakowałam go do pokrowca. Nie musiałam go kąpać, nie zdążyliśmy dać sobie nawet po buziaku. „Czego ona może chcieć tak z samego

rana?” – zaczęłam się zastanawiać, chowając metalowe opakowanie głęboko w czeluści mojej szafy. Upchnąwszy je tam, gdzie nikt nie mógł go znaleźć, zrzuciłam z siebie piżamę i ubrałam się w dresy oraz luźny T-shirt.

„Mam nadzieję, że nie wymyśliła sobie całodziennego sprzątania” – przeszło mi przez myśl, gdy otwierałam drzwi do przedpokoju.

– No cześć. Co tam? – zagałam znudzonym głosem w progu maminej sypialni.

– Niespodzianka! – Wrzask matki aż zatrzęsł ścianami. – Sto lat, sto lat...

Kiedy przelatywała powolutku przez kolejne takty piosenki, wpatrywałam się jak głupia w jej uśmiechniętą od ucha do ucha twarz. Co chwila zezowałam na śliczny bezowy torcik, który stał obok niej na nocnym stoliku. Wbiła w niego chyba z tysiąc świeczek! W torcik oczywiście, nie w stolik.

– ...A kto?! – wykrzyknęła mama, kończąc przyśpiewkę, a po chwili sama sobie odpowiedziała: – Grażynka!

Choć fałszowała niemilosiernie, a cała ta akcja załatywała na kilometr tandetą, po policzkach pociekło mi kilka łez wzruszenia. Kochana matula jak zwykle pamiętała o moich urodzinach. Jak na ironię ja o nich kolejny raz z rzędu zapomniałam.

– Chodź tu, córeczko. – Wyciągnęła ręce w moją stronę. – Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Wytarłam mokre powieki w pięść i wtuliłam się w nią jak małe dziecko.

– No, dobrze już, dobrze. – Odsunęła mnie lekko od siebie po kilkunastu sekundach. – Dmuchaj świeczki, bo zaraz cały tort zaleją.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Jeśli jest na świecie coś, co potrafi sprawić mi przyjemność porównywalną do tej

dawanej przez Pana Różowego, to nazywa się to beza. Wiem, że z moją nadwagą nie powinnam nawet patrzeć na słodkości, ale nie można się przez całe życie ograniczać, prawda? W trymiga zdmuchnęłam las świeczek i zabrałam się za krojenie ciasta przygotowanym przez mamę nożem. Następnie wskoczyłyśmy do jej niezaścielonego łóżka i rozpoczęłyśmy ucztę.

– Smakowało? – zapytała, kiedy z wielkim westchnieniem zakończyłam pałaszowanie trzeciego kawałka.

– Pyszności!

– Bardzo się cieszę. – Złapała mnie z czułością za policzek. – A wiesz, że mam dla ciebie coś jeszcze?

– Mamo...

– Cicho tam. – Weszła mi w słowo. – Wiem, że umawiałyśmy się inaczej, ale nie mogłam się powstrzymać. – Zachichotała.

Moja uwaga w okamgnieniu się wyostrzyła. Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałam z ust rodzicielki taki rodzaj śmiechu.

– Proszę. – Wyciągnęła nie wiadomo skąd małą różową kopertę. Papier obwiązany był czerwoną wstążką.

– Dziękuję – odpowiedziałam machinalnie. Chwyciłam prezent i zaczęłam obracać go w dłoniach. – Co to?

– Nie zastanawiaj się, tylko otwieraj. – Znow zachichotała.

Pomęczyłam się z kokardką i już po chwili trzymałam między palcami tekturowy bilet z logo popularnego multipleksu. Widniały na nim dzisiejsza data, godzina szesnasta oraz nagłówek „pokaz przedpremierowy”.

– „365 dni” – odczytałam szeptem tytuł. – „365 dni”?! – wrzasnęłam, kiedy dotarło do mnie, jaki skarb otrzymałam.

– Koleżanki mówiły, że podobno fajny romans – zaczęła tłumaczyć swój wybór mama. Zarumieniła się przy tym, jakby tak naprawdę nie musiała pytać o radę żadnych koleżanek.

Nie wytrzymałam i perliście się roześmiałam.

Kiedy dobrą minutę później udało mi się jako tako uspokoić, ucałowałam rodzicielkę i podziękowałam jej za wspaniały prezent.

Przez kolejne pół godziny męczyłyśmy resztkę bezy, delektując się niegasnącą miłą atmosferą i niezobowiązującą gadką, po czym mama wyszła spotkać się z przyjaciółkami, a ja przygotowałam sobie długą, gorącą kąpiel z książką pani Lipińskiej w jednej i Panem Różowym w drugiej dłoni. No co? Musiałam się nastroić przed popołudniowym seansem.



Co do zasady nie chodzę do kina na filmy nakręcone na podstawie książek. Jestem zdania, że nie powinno się przenosić na srebrny ekran historii, które narodziły się jako powieści. Zbyt łatwo je w ten sposób spłycić i popsuć. W przypadku „365 dni” zasada ta jednak nie obowiązywała. Nie boję się przyznać, że gdyby ktoś wyreżyserował na bazie tego dzieła sztukę teatralną, byłabym skłonna zabić za miejsce w pierwszym rzędzie podczas premiery, a jeśli fabułę wykorzystano by do stworzenia gry video, kupiłabym konsolę i poświęciła życie, by stać się mistrzynią obsługi pada. Jestem tak zauroczona perypetiami Laury i Massima, że mogłabym je przeżywać dzień i noc w każdej możliwej postaci. Nie wiem, co i komu mama zrobiła, żeby zdobyć bilet na prapremierę, ale naprawdę chwala jej za to!

Umarłabym, gdybym się spóźniła, dlatego na miejsce dotarłam godzinę przed czasem. Jak się okazało, takich jak ja było więcej i mimo bardzo wczesnego przybycia nie załapałam się na żadne siedzenie. Stałam więc jak na szpilkach gdzieś w rozkładzie dala od narastającego tłumu i obserwując podekscytowane oblicza innych czekających, zajadałam się prażoną kukurydzą w rozmiarze XXL.

Kiedy dwóch przystojniaków w ciemnych garniturach zaprosiło w końcu zebranych gości do kinowej sali, w pudełku miałam już jedynie marne resztki popcornu. Na szczęście zapobiegawczo wypchałam kieszenie solidną porcją orzeszków w czekoladzie. Zaczęłam je metodycznie pałaszować zaraz po tym, jak umościłam się w przydzielonym mi miejscu, a obsługa włączyła pierwsze reklamy.

Między dwunastym a trzynastym kąskiem ktoś stuknął mnie w ramię i wysyczał groźnie:

– Czy mogłaby pani przestać mlaskać?

Tak mnie ten niespodziewany dotyk wystraszył, że zerwałam się z krzesła jak poparzona. Pech chciał, że orzeszek numer trzydzieści dosłownie ułamek sekundy wcześniej trafił do moich ust, a gwałtowny ruch całym ciałem popchnął go w tak zwaną nie tę dziurkę. Momentalnie straciłam dech i pociemniało mi przed oczami. Chciałam krzyknąć, żeby ktoś mi pomógł, ale nie byłam w stanie wydusić z siebie choćby pół słowa. Nagle po prostu odłączyło mi zasilanie i osunęłam się nieprzytomna na podłogę.

Rozdział 1

Przebudziłam się z poobiedniej drzemki cała połamana. Nie dziwota, jak zwykle podczas snu połowa sadelka zsunęła mi się z leżaka. Wstałam i przeciągnęłam się, a następnie poprawiłam strój kąpielowy, bo kawałek poliestru wszedł mi w rowek. Do mojego rozspanego jeszcze umysłu zaczęły zewsząd napływać śmiechy, odgłosy pluskania się w wodzie oraz wielojęzyczny gwar. Po chwili przez wszystkie te dźwięki przebił się głos mamy:

– O, wstałaś! Skoczysz po drinki?

Udałam, że jej nie słyszę. Skorzystałam z tego, że siedzący dwa parasole dalej wczasowicz rzucił w tej samej chwili soczyste „bljet”. Schyliłam się i podniosłam z posadzki okulary przeciwsłoneczne, które musiały spaść mi z nosa podczas drzemki.

– Grażynko? – Rodzicielka odezwała się ponownie. – No, po-leć po picie, proszę.

– A teraz nie twoja kolej? – zapytałam, spoglądając na nią zadziornie.

– Przyniosłam, jak spałaś. – Skinęła głową na stolik zagracony pustymi plastikowymi kubeczkami.

– Jak nie brałaś dla mnie, to się nie liczy.

– Ten był dla ciebie. – Wskazała palcem naczynko z wymemłanym plastrem pomarańczy. – I ten też. – Pokazała stojący obok drugi kubeczek.

Jak by nie patrzeć, jej argumenty przebijały moje. Westchnęłam więc tylko przeciągle i z miną zbitego psa odmaszerowałam do wodopaju. Odprowadził mnie śmiech matki.

Oczywiście cały ten zбитy pies był tylko na pokaz. Tak naprawdę miałam wysmienity humor. Wszak jak tu się martwić czy wkurzać czymkolwiek, gdy praży się dupkę na słonecznej Sycylii, a opcja all-inclusive pieści twój w tej chwili nie tak bardzo ukryty alkoholizm. Jeszcze gdyby turnus się kończył, to owszem, można by nieco pokręcić nosem, ale przyleciałyśmy z Polski dopiero dziś rano, więc powodów do zmartwień po prostu nie było.

Stałam w kolejce przy kontuarze i nucąc pod nosem jakiś wakacyjny przebój, zaczęłam przyglądać się hotelowym gościom. Największe grono wczasowiczów stanowili emeryci. Cwaniackie babcie i dziadkowie zajmowali najlepsze leżaki – te tuż koło baru. Znając życie, wstawali o piątej, żeby je sobie zaklepać ręcznikami. Drugą najliczniejszą grupę tworzyli czterdziestoparoletni rodzice z dziećmi. Ci okupowali brzegi basenów, a szczególnie ten z brodzikiem i zjeżdżalniami. Najmniej było ludzi młodych, czyli takich między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Prawdopodobnie odsypiali jeszcze w pokojach wczorajsze imprezy. Udało mi się mimo tego wyhaczyć kilka naprawdę miłych dla oka ciasteczek.

Najbardziej przypadł mi do gustu ogolony na tyso mężczyzna, umięśniony jakby uciekł wprost spod dłuta Michała Anioła. Siedział z nieco brzydszym kumplem przy stoliku w ogrodzie, półnagi, i przeżył się w słońcu jakby specjalnie dla mnie. Choć był ode mnie oddalony o dobre trzydzieści metrów, widziałam każdą kropelkę potu spływającą po jego ogolonej kłacie. DJ w mojej

głowie momentalnie przełączył „Despacito”, czy co tam w niej akurat grało, na muzyczkę rodem z filmów erotycznych. Poczulałam przyspieszone bicie serca, gdy mój młody bóg chwycił za szklankę z piwem i zaczął powoli wysączać jej zawartość. Wiele bym dała, żeby być tą szklanką, żeby to we mnie tak zatapiał swe pełne usta i żeby to moją wilgoć spijał tak chętnie jak ten swój bursztynowy trunek. Kiedy już niemal dostałam mentalnego orgazmu, do bohatera moich fantazji podeszła jakaś dziunia – drobna, ciemnowłosa i na oko dwa razy ode mnie szczuplejsza. Pocałowali się. Odwróciłam wzrok, zdenerwowana i zażenowana. Znaliśmy się raptem kilka chwil, a on już zdążył tak mnie zranić. Cham!

– Co podać, miła pani? – Z rozmyślań wyrwało mnie pytanie chłopaka zza baru, zadane płynną angielszczyzną.

– Podwójną wódkę z colą – wypaliłam bez zastanowienia. – Dwa razy – dodałam, bo przypomniałam sobie o matce.

Cała buzowałam i musiałam jak najprędzej uspokoić zszargane nerwy dawką alkoholu. Młody Włoch z drugiej strony lady na szczęście znał się na swojej pracy i przygotował drinki w rekordowym tempie.

– *Prego, bellissima* – wyszeptał, wręczając mi kubeczeki.

Nie jestem poliglotką, ale ten zwrot zrozumiałam.

– *Grazie* – odpowiedziałam, rumieniąc się.

Uśmiechnął się do mnie zawadiacko i zaczął obsługiwać kolejną osobę. Moja złość minęła jak ręką odjął. Uchachana, zgarnęłam z lady napoje i udałam się z powrotem pod parasol, który zajmowałyśmy wspólnie z matką. Na łysego pajaca nawet się po drodze nie obejrzałam.

Kiedy dotarłam do naszych leżaków, rodzicielka odłożyła dzierzoną w dłoniach krzyżówkę i zgarnęła ode mnie drinka.

– Długo cię nie było – stwierdziła, upiwszy dwa solidne łyki.

– Stałam w kolejce.

– A nie taplałaś się po drodze w jakimś basenie?

– Niby czemu? – Zdziwiłam się.

Zsunęła z nosa ciemne okulary i łypnęła okiem w stronę moich ud.

– Masz mokry dół od stroju kąpielowego. – Zaśmiała się. – Mamusi nie oszukasz.

Skonfundowana złapałam się za krocze. Materiał był wilgotny jak ta lala! To musiała być sprawka tysego...

– Masz mnie – zachichotałam nerwowo, po czym zaczęłam się tłumaczyć: – Chciałam sprawdzić, czy woda...

– Spokojnie, córuś – weszła mi w słowo – nic się nie stało. *Chill out*, czy jak to wy tam teraz młodzi mówicie. Kładź się lepiej i słuchaj, co tu się wydarzyło, kiedy poszłaś do baru.

Ochoczo skorzystałam z tego koła ratunkowego i czym prędzej usadowiłam się na leżaku. Nogi okryłam pareo, żeby mama nie zorientowała się, że były całe suche.

– Pamiętasz tego faceta – rodzicielka kontynuowała wypo-
wiedź – co tak głośno wszystko komentował?

– Masz na myśli tego ogromnego Rosjanina, który rzucał przekleństwami na lewo i prawo i pił jedną wódkę za drugą? – Rozejrzałam się. Dopiero kiedy o nim wspomniała, zorientowałam się, że ten irytujący gość gdzieś zniknął.

– Tak, właśnie tego.

– No, pamiętam. I co z nim?

– Minutę po tym, jak poszłaś się kąpać... – Puściła do mnie oczko, na co bezwiednie podciągnęłam pareo kilkadziesiąt centymetrów w górę. – ...porządnie narozrabiał.

– Jak to: narozrabiał? – Zdziwiłam się. W końcu wszystko, co robił ten typek, to jedno wielkie rozrabianie.

– Normalnie. – Zrobiła krótką pauzę. – Zaczął palić. – Ostatnie słowo zaakcentowała tak mocno, jakby miało jakieś ukryte

znaczenie. Kiedy przez dłuższą chwilę nie doczekała się z mojej strony żadnej reakcji, dodała konspiracyjnym szeptem: – Śmiesz- nego papieroska zaczął palić.

– W sensie: marihuanę? – Zrobiłam wielkie oczy. – A skąd ty wiesz, jak to pachnie?

– Oj, skąd wiesz, skąd wiesz – przedrzeźniła mnie. – Co to za różnica, skąd wiem? Mam mówić dalej czy nie?

– No, mów, mów.

– No. – Odchrząknęła i przepłukała usta drinkiem, po czym podjęła opowieść: – Więc ten Rusek zapalił papieroska, a chwilę później ktoś się do niego o to przyczepił. Doszło do ostrej wymiany zdań, na moje ucho rosyjsko-angielsko-niemieckiej. Niewiele zrozumiałam, ale ten drugi gość na pewno wspomniał coś o matce tego pierwszego, a ten pierwszy ryczał, że temu drugiemu wsadzi coś dużego w dupę. Po gestykulacji domyślałam się, że chodziło o parasol. – Zrobiła przerwę, żeby zaczerpnąć tchu oraz procentów.

– I co? Pobili się? – zgadywałam.

– Na szczęście nie, ale to właśnie jest najciekawsze. Kiedy już tak między nimi wrzało, że woda w basenie obok zaczynała parować, do Rosjanina podszedł nagle od tyłu przystojny Włoch i wyszeptał mu coś do ucha. Dałabym sobie rękę uciąć, że w tamtej chwili wszyscy gapie spodziewali się, że stukilowy zarośnięty misiek odwróci się i co najmniej odepchnie tamtego, ale sprawy potoczyły się całkiem inaczej. – Przerwała, żeby dopić resztkę drinka, i machnęła na mnie ręką, żebym podała jej swojego. Nie doczekała się żadnego ruchu z mojej strony, więc westchnęła i kontynuowała: – Pod Ruskiem ugięły się kolana i gdyby go ten czarny nie przytrzymał, wielkolud osunąłby się na posadzkę. Paręnaście sekund później było już po awanturze. Osilek prosił wszystkich dokoła, zabrał swoje klamoty z leżaka i oddalił

się szybkim tempem w kierunku budynku. Mówię ci, nigdy nie widziałam czegoś podobnego!

Wychyliłam łyk ze swojego kubeczka. Chciałam przepłukać gardło, zanim zacznę wypytywać mamę o wspomnianego Włocha. Zaintrygował mnie bardziej niż łyśy i barman razem wzięci. Niestety kompletnie zapomniałam, że poprosiłam o podwójną porcję wódki, i gdy tylko napój zetknął się z wnętrzem moich ust, parsknęłam i wyplułam wszystko przed siebie.

– Kurza mordka! – wykrzyknęłam i zerwałam się na równe nogi, rozlewając przy tym resztę zawartości plastikowego kubeczka.

Gdy moje nagie stopy natrafiły na mokre kafelki, wywinęłam koncertowego orła. Łupnęłam głową o posadzkę i przed oczy wskoczyły mi miliony gwiazd. Nie zdążyłam się nimi nacieszyć, bo ułamek sekundy później odpłynęłam w czerń.

Rozdział 2

– Proszę pani. – Przez szum w mojej głowie przedarł się czyjś głos. Mężczyzna mówił po angielsku z mocno wyczuwalnym włoskim akcentem.

– Jej imię Grażyna – odezwała się jakaś kobieta. Ona dla odmiany brzmiała bardzo swojsko. Żet wymawiała tak, jak należy, a jej angielska składnia nie trzymała się kupy.

– Pani Gra... Grasz... Graz... – męczył się właściciel pierwszego głosu. W końcu skapitulował i powtórzył zawołanie sprzed chwili: – Proszę pani, czy słyszy nas pani?

Poczułam lekkie szturchnięcie za ramię i dopiero wtedy zrozumiałam, że mówiono do mnie. W tym samym momencie w tył głowy wlał mi tak okropny ból, że aż krzyknęłam. Chyba coś o urywaniu jakiejś naci.

– Grażynko! – Kobiecy głos przeszedł na polski. – Wyrażaj się.

Uchyliłam powieki i przez mroczki przed oczami spojrzałam na naburmuszoną mamę. Sekundę później jej nadąsana buzia została podmieniona przez zatroskane oblicze młodego Włocha. Rozpoznałam w nim mojego barmana i od razu ćmienię w potylicy jakby zelżało.

– Czy dobrze się pani czuje? – zapytał.

„Jak tak pan na mnie patrzy tymi maślanymi oczami, to nawet bardzo dobrze” – pomyślałam, a następnie już na głos rzuciłam: – Bywało lepiej. – Spróbowałam dźwignąć się na przedramionach, ale ból w głowie znów zapulsował i skończyłam tak, jak zaczęłam, czyli leżąc plackiem na zimnych kafelkach.

– Proszę samej się nie podnosić. – Włoch się zafrasował. – Pomogę pani.

Nie zdążyłam nawet mrugnąć, a już obejmowały mnie jego umięśnione ramiona. I całe szczęście, że trafił mi się taki mięśniak, bo gdyby któreś z wielu biegających tu wkoło włoskich chucherek spróbowało zmierzyć się z moimi sześćdziesięcionasto-kilogramami, miałabym na sumieniu co najmniej kilka pękniętych żyłek. Tymczasem pan barman wykonał szybki podrzut z rwanem i już po chwili siedziałam wygodnie na swoim leżaku.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się.

– Proszę bardzo, pani Gra... – zawahał się – pani Graziello.

Och, jak on to pięknie wymyślił! Niezwłocznie zatrzepotałam dla niego rzęsami, ale chyba tego nie dostrzegł, bo na scenę nagle z powrotem wkroczyła moja rodzicielka.

– Bardzo śliska podłoga wy mieć tutaj – zwróciła się do Włocha wyniośle. – Moja córka zabić się prawie!

Spojrzałam na nią z politowaniem i odezwałam się po polsku:

– Mamo, przecież sama wylałam drinka na kafelki.

Barman mnie oczywiście nie zrozumiał i w te pędy zaczął przeproszać nas za całe zło tego świata. Kiedy skończył, wyciągnął z kieszeni mały kartonik i wręczył go matce, mówiąc:

– Proszę. Oto zaproszenie dla dwóch osób na kolację w hotelowej restauracji dla VIP-ów. Pan dyrektor Torricelli z pewnością ucieszy się, mogąc panie w niej ugościć.

Matula się skrzywiła, ponieważ nie rozumiała, co powiedział, ale kiedy przyjrzała się karteluszcze, połączyła kropki i z ledwością

pohamowała ekscytację. Widziałam, jak świecą jej się oczy i jak walczy ze sobą, żeby nie okazać przy pracowniku hotelu radości płynącej z – jak by na to nie patrzeć – wyżebranego prezentu. W końcu nie wytrzymała i uderzyła w śpiewną nutę:

– Och, pan bardzo miły! Pan nie musieć być. Ponieważ nic się wydarzyć, naprawdę.

Niesamowite, jak w kilka sekund zmieniła swoje zachowanie. Młody barman musiał mieć nas w tym momencie za kompletne idiotki. Chciałam zapaść się pod ziemię.

– Pani Graziello – Włoch nieoczekiwanie zwrócił się znowu do mnie – czy na pewno się pani dobrze czuje? Poczzerwieniała pani na twarzy.

Wypowiadając ostatnie zdanie, przejechał kciukiem po moim policzku. Zrobił to z taką czułością, że zmiękły mi kolana. Całe szczęście, że usadził mnie uprzednio w leżaku, bo gdybym stała, tobym się na pewno przewróciła i tym razem załatwiła na dobre.

– Och, tak – wymruczałam – wszystko w porządku.

– Bardzo się cieszę – odpowiedział, a następnie zaprezentował szeroki wachlarz śnieżnobiałych zębów, które idealnie kontrastowały z jego ciemną karnacją.

Matko Boska i wszyscy święci, jakież on był piękny! Nie po prostu przystojny, tylko właśnie piękny. Przez duże pe, wielkie i, ogromne ę, kolosalne ka, monstrialne en i gargantuiczny igrek! Mogłabym się wpatrywać w ten jego uśmiech godzinami, mógłby mnie hipnotyzować dzień i noc swoim łagodnym spojrzeniem, a gdyby uczyli anatomii, posługując się jego ciałem, mogłabym nigdy nie kończyć studiów – oblewałabym zajęcia semestr po semestrze tylko po, by spędzić z tym cudem natury więcej czasu i, daj Boże, załapać się na jakieś korki albo indywidualne konsultacje.

Moją chwilę zadumy przerwała nagle matka, odzywając się ponownie tonem wielce poszkodowanej:

– Okej, my już pan żegnać. My musieć zanim kolacja jeszcze w słońce.

– Oczywiście. – Młody barman w okamgnieniu cofnął dłoń z mojej twarzy i zwrócił wzrok w stronę mamy.

– A jeśli pan móc my przynieść to samo raz jeszcze... – wskazała dłonią opróżnione kubeczki – ...ja myślę, że my zapomnieć na zawsze nasza mała przygoda.

– Mamo! – fuknęłam. Chciałam poderwać się z siedzenia, ale Włoch powstrzymał mnie, kładąc mi delikatnie rękę na ramieniu.

– Dwa razy podwójna wódka z colą – zaświergotał, z powrotem wkładając na usta uśmiech od ucha do ucha. – Już się robi, miłe panie. – Zasalutował nam niczym jakiś marynarz, po czym odmaszerował w stronę baru.

– Boże, mamo! – ryknęłam, gdy tylko się nieco oddalił. Wstałam energicznie z leżaka i równie podniesionym głosem dodałam: – Czy ty zawsze musisz robić taką siarę?

– Jaką znowu siarę? – zaproponowała. – Przecież omal się nie zabiłaś. Chyba się nam za to coś należy.

– Nic się nikomu nie należy! Za co niby? Za to, że się pośliźgnęłam na kałuży, którą sama zrobiłam?

– Opanuj się, Grażynko. – Mama rozejrzała się wkoło, a następnie, ścisząc głos niemal do szeptu, dodała: – Spójrz, wszyscy nam się przyglądają.

– Niech patrz! – wrzasnęłam na całe gardło. – Niech widzą, jaką mam durną babę za matkę! Wyżywa się na Bogu ducha winnym barmanie, kalecząc angielski, aż uszy bołą, i robi taką scenę, że z pewnością wygra nagrodę dla największego Polaka cebulaka, jakiego tu widziano! Ba, jakiego widziano na całej Sycylii!

Dopiero gdy ten potok słów wylał się z mojej niewyparzonej paszczy, dotarło do mnie, że chyba trochę przesadziłam. Potwierdziła to mina mamy. Jeszcze chwilę temu prezentowała oblicze

wojowniczej księżniczki, by po mojej tyradzie zmienić się w choro-
go na raka, zbitego psa, któremu na domiar złego ktoś zamor-
dował szczenię.

– Dobry jeżu, mamuniu – załkałam i rzuciłam się, by ją przytulić.

– Zostaw mnie! – Odepchnęła moje ręce, po czym wybuchła
płaczem.

Przez parę sekund stałyśmy tak – ona rycząc, a ja milcząc i pło-
nąc ze wstydu – po czym nagle zrobiła obrót na pięcie i bez słowa
odmaszerowała w kierunku hotelu. Zostały po niej jedynie naręcze
pustych plastikowych kubków oraz kartonik od młodego Włocha,
który musiała upuścić podczas naszej kłótni. Przez następną minu-
tę byłam jak wrośnięta w ziemię. Łopocące w mojej klatce pierś-
wej serce stanowiło jedyny dowód na to, że nie jestem pomnikiem
z trochę zbyt czerwonego brązu, ale żywym człowiekiem. W końcu
jakoś pokonałam niemoc i na drżących nogach podeszłam do miej-
sca, w którym znajdowała się przed momentem mama. Podniosłam
z posadzki nasiąkające wodą z basenu zaproszenie i poprzygląda-
łam się mu, sama nie do końca wiedząc, po co się po nie schyliłam.

– Pani Graziello – rozległ się nagle tuż za mną znajomy głos.

Odwróciłam się w stronę barmana, wycierając pięścią samot-
ną łzę, która pociekła mi po policzku.

– Tak? – zapytałam beznamiętnie.

– Przyniosłem drinki dla pań – zaczął radośnie, ale gdy tylko
zorientował się, że coś jest nie tak, spochmurniał i zapytał zatro-
skany: – Co się stało, pani Graziello?

– Och, panie... – Zamilkłam, bo przecież nie znałam jego
imienia.

Z zakłopotania oraz z tych wszystkich emocji zrobiło mi się nagle
słabo. Zachwiałam się, a przed oczy, już drugi raz dzisiejszego po-
południa, weszły mi ciemne mroczki. Ostatnie, co poczułam przed
odpłynięciem w nicość, to chwytające mnie męskie, silne ramiona.

Rozdział 3

Kiedy się ocknęłam, w me uszy ani nie wdzierał się wielojęzyczny gwar, ani bryza znad pobliskiego basenu nie rosła mego odzianego w strój kąpielowy ciała. Leżałam na łóżku w hotelowym pokoju. Sypialnię spowijał mrok, lecz nie było całkiem ciemno. Ktoś pozasłaniał wszystkie okna, zostawił jednak zaświeconą lampkę w rogu pokoju. Jedyne dźwięki, jakie słyszałam, to brzęczenie klimatyzacji oraz szum prysznicza dobiegający z przylegającej do pomieszczenia prywatnej łazieneczki. Czułam się lekko skonfundowana.

– Mamo? – zawołałam niepewnie.

Nie wiedziałam, dlaczego miałyby się kąpać u mnie, skoro miała własny pokój. Na myśl przychodziło mi tylko jedno wyjaśnienie – musiało dojść u niej do jakiejś awarii.

Nie doczekałam się odpowiedzi, więc po chwili powtórzyłam pytanie nieco głośniej. Niestety to drugie zawołanie również pozostało bez odzewu. Doszłam zatem do wniosku, że matka albo mnie nie słyszy, albo stało się coś niedobrego i rodzicielka leży na podłodze w kałuży krwi rozmywanej przez gorącą wodę wypływającą z nieruchomej słuchawki prysznicza. Ta druga możliwość tak mną wstrząsnęła, że postanowiłam czym prędzej pognać do

toalety, aby sprawdzić, czy wszystko z matulą okej. W chwili, w której zaczęłam wdrażać tę myśl w życie, szum wody ustał. Zatrzymałam się na brzegu łóżka i głośno odetchnęłam z ulgą. Zza ściany dało się słyszeć standardowe dźwięki, jakie generuje człowiek zaraz po kąpieli: szmer ręcznika trącego o ciało, szuranie laczkami po podłodze, otwieranie i zamykanie opakowań kosmetyków. W końcu, jakieś dwie minuty później, do odgłosów tych dołączyło skrzypnięcie zawiasów w drzwiach łazienki.

– Dlaczego przyszedł się myć do mnie? – zapytałam, jeszcze zanim wychyliła się zza węgła. Nie było w tym pytaniu wyrzutu, jeśli już, to taki udawany. W gruncie rzeczy cieszyłam się, że mnie odwiedziła, bo to oznaczało, że musiała wybaczyć mi moje beczelne zachowanie nad basenem.

– Słucham? – usłyszałam w odpowiedzi i zamarłam.

Głos nie należał do mojej matki. Co więcej, nie był kobiecy, a pytanie zadano po angielsku. Już miałam wydrzeć się na całe gardło i skoczyć do okna, żeby przez nie uciec, kiedy zza ściany wyłonił się on – mój boski barman odziany jedynie w biały, puchaty ręcznik zawieszony na biodrach, hotelowe kapcie w tym samym kolorze oraz szeroki uśmiech, przy którego bieli dwa pozostałe elementy wydawały się szare. Widok półnagiego Włocha odebrał mi całkowicie rozum. Zamiast wrzeszczeć i zwiewać w popłochu, siedziałam z wywalonym językiem i wgapiałam się w jego wyrzeźbione ciało. Sześciopak na brzuchu mężczyzny prezentował się tak, że gdyby zrobić mu zdjęcie i wrzucić na okładkę jakiegoś gorącego romansu, top dziesięć w Empiku byłoby murowane. Kłatkę piersiową miał tak dokładnie wydepilowaną, że gdyby zagrał w reklamie Gillette z Robertem Lewandowskim, ten drugi mógłby mu co najwyżej podawać ręcznik. Do tego dochodziły: szerokie bary, umięśnione ręce oraz tydki, które zdecydowanie wskazywały na to, że pan barman nie zapominał na siłowni o dniu nóg.

– Może pani powtórzyć? – Włoch ponownie zwrócił się do mnie po angielsku. – Nie zrozumiałem, co pani powiedziała.

Może i bym sobie przypomniała, jakie pytanie zadałam mu dosłownie chwilę temu, ale aby tego dokonać, nie mogłoby się wydarzyć to, co stało się pół sekundy później – ręcznik okalający biodra barmana zsunął się i wylądował na podłodze. Włoch stał teraz przede mną jak go Pan Bóg stworzył. Brzuch, klatka, ręce, nogi – wszystko to momentalnie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Moje oczy widziały w tym momencie tylko jedno – ogromne przyrodzenie z gatunku tych, dla których w powieściach erotycznych używa się słów „berło” czy „maczuga”. Dotychczas tej wielkości stworzenia widywałam jedynie na filmach „przyrodniczych”, teraz miałam jeden okaz dosłownie jakieś dwa metry przed sobą. Gruba żyła ciągnąca się przez całą jego długość pulsowała miarowo, a wiszące pod nim potężne jądra bujały się delikatnie w rytm oddechu mężczyzny. Nie zdążyłam mrugnąć dwa razy, a pod majtkami od mojego stroju kąpielowego zawrzało. Każda kobieta na moim miejscu zareagowałaby identycznie. Ba, obstawiam, że znalazłoby się paru facetów, którzy mogliby nieoczekiwanie zmienić orientację w obliczu takiego majestatu. Nic więc dziwnego, że dopiero po dłuższej chwili zaczęłam zwracać uwagę na kolejne słowa, wypowiedane przez właściciela rzeczonoego potwora.

– ...Proszę się nie denerwować, pani Graziello. Włożę go teraz delikatnie pod pani pachę.

„Och, tak, włóż mi go!” – ponaglałam Włocha w myślach. „Zerwij ze mnie te przemoczone majtochy i pokaż, na co cię stać”. Chwilę później dotarł do mnie całkowity sens wypowiedzi mężczyzny i oprzytomniałam. Następnie już na głos zapytałam: – Jak to: pod pachę?

– No, pod pachę – barman odpowiedział, uśmiechając się załotnie. – A co? Wolałaby pani, abym wsunął go w odbyty?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w moją stronę. Absurdalność tej sytuacji spowodowała, że wilgoć między moimi udami w mgnieniu oka została zastąpiona przez suszę stulecia. To natomiast poskutkowało tym, że odzyskałam trzeźwość myślenia. Dotarło do mnie, że dzieje się coś złego. Fakty były takie, że obcy mężczyzna zaniósł mnie wpierw omdloną do pokoju, następnie wykapał się w mojej łazience, jakby był u siebie, a teraz szedł w moją stronę, nagi, z niecnymi zamiarami. Jego doskonały penis wydał mi się nagle złowrogi. Skuliłam się w sobie i zacisnęłam mocno uda. Chociaż chyba powinnam zacisnąć... pachy.

Kiedy włoskie monstrum znalazło się dosłownie centymetry ode mnie, nie wytrzymałam. Wrzasnęłam na całe gardło, a następnie chwyciłam nasadę prącia mocno w dłoń, żeby drugą zacisnąć w pięść i rozpocząć wyprowadzanie serii ciosów. Biłam zapamiętale, nie zważając na jęki i piski jego pana.

– *Aiuta me!* – krzyczał, próbując wyrwać się z mojego żelaznego uścisku. – *Alessandro, aiuta me!*

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi wejściowych, a kiedy zerknęłam w ich stronę, całkowicie zbaraniałam. Zobaczyłam tam... mojego barmana. Ubrany w białą koszulę i spodnie od garnituru zaprasowane w kant, gnał ku mnie z wyrazem totalnego przerażenia na twarzy. „Jak on mógł być w dwóch miejscach jednocześnie?” – pomyślałam, absolutnie zbita z pantałyku, po czym z powrotem skupiłam wzrok na tym, w co od paru dobrych sekund napitalałam jak Rocky Balboa na dopalaczach. Gdy zorientowałam się, że wcale nie jest to mamucich rozmiarów drągał, tylko ręka jakiegoś dziadka, która może i w lichym oświetleniu nocnej lampki trochę przypominała fallusa, ale z całą pewnością nim nie była, momentalnie ją puściłam i przestałam okładać ją piąchą. Starszy mężczyzna odetchnął

głęboko i czym prędzej oddalił się ode mnie na bezpieczną odległość. W tej samej chwili dopadł do mnie młody Włoch.

– Pani Graziello – przemówił, złapawszy moje dłonie w swoje. – Co się stało? Dlaczego pobiła pani doktora Barzagliego?

„Dlaczego pobiłam doktora Barzagliego?” – powtórzyłam w myślach, ale nie pomogło mi to znaleźć sensownej odpowiedzi. Zdecydowałam się więc na bezsensowną, ale w stu procentach prawdziwą.

– Chciał mnie zgwałcić – wyszeptałam.

Staruszek po tym wyznaniu zaczął zapamiętale gestykulować i tłumaczyć coś barmanowi w ich ojczystym języku. Zrozumiałam z jego monologu tylko jedno słowo, ale ni w ząb nie pasowało ono do sytuacji, no bo jak pizza mogła łączyć się z gwałtem?

– Pan doktor mówi – młody Włoch zwrócił się do mnie, gdy tamten skończył gadać – że wpierw podał pani sole trzeźwiące, a gdy się pani nieco ocuciła, próbował zmierzyć pani temperaturę. Podobno była pani rozpalona jak piec do pizzy.

Zajęło mi dłuższą chwilę, żeby przetrawić te informacje, ale w końcu wszystkie klocki wskoczyły na właściwe miejsca. Kiedy zrozumiałam, że goły barman był jedynie wytworem mojej wyobraźni, a pod pachę miałam mieć włożony termometr, a nie jego niezemskiego członka, zaniósłam się histerycznym śmiechem. Wkrótce dołączył do mnie młody Włoch, a niedługo potem nerwowo rozchichotał się również lekarz.

Trudno było zatrzymać tę karuzelę śmiechu, ale po kilkudziesięciu sekundach udało nam się opamiętać. Gdy to nastąpiło, przeprosiłam doktora Barzagliego za swoje zachowanie, a on nie dość, że z miejsca mi wybaczył, to jeszcze obdarował mnie jakimś magicznymi ziółkami. Podobno napar z nich stawiał na nogi nawet obłożnie chorych. Dodatkowo staruszek przebadał mnie i wystawił diagnozę, że powodem mojej utraty przytomności był

najprawdopodobniej nadmiar emocji podlany alkoholem i przy-
skwiercony sycylijskim słońcem.

Przeprosiłam również Alessandra (okazało się, że tak miał na
imię barman) za to, że miał dziś ze mną same kłopoty. Zapewnił
mnie, że się nie gniewa i że mogę liczyć na jego pomoc w każdej
sytuacji. Nie miałam pojęcia, czy był po prostu do bólu profes-
jonalny, czy może poczuł do mnie przedziwną nić sympatii, ale
wyobrażałam sobie, że chodziło o to drugie.

Kiedy już wszyscy wszystko sobie wyjaśnili, a mój barman
raz jeszcze zaprosił mnie na vipowską kolację w hotelowej re-
stauracji, panowie pożegnali się i zostawili mnie samą w pokoju.
Ponieważ czułam się zmęczona i brudna, postanowiłam nieco
się odświeżyć. Przygotowałam sobie na wieczór komplet bieli-
zny i ładną sukienkę, a następnie pozbyłam się stroju kąpielowe-
go i w samych japonkach poczłapałam do łazienki. Odkręciłam
oznaczony czerwoną kropeczką kurek i ze słuchawki prysznicza
zaczęła lać się gorąca woda. Zanim jednak weszłam do kabiny,
wychyliłam się jeszcze na moment do pokoju. Doskoczyłam
do szafy, w której chowałam bagaż, i wyciągnęłam z walizki
skrzętnie ukryte metalowe etui. Cóż, skoro okazało się, że Ales-
sandro nie jest żadnym zboczeńcem gwałcicielem, mogłam bez
wyrzutów sumienia sobie o nim pofantazjować. Pan Różowy miał
mi w tym pomóc.

Rozdział 4

Spod prysznicą wyszłam czysta, pachnąca i przede wszystkim nieziemsko odprężona. Uśmiech nie schodził mi z ust. Zamiast, jak normalny człowiek, zacząć się po kąpieli wycierać, stanęłam ociekająca wodą przed lustrem i z dezodorantem w dłoni odśpiewałam a cappella refren „Oops!... I Did It Again”. Nie wiem, kto wynalazł wibrator, ale gdyby to ode mnie zależało, dostałby za to Pokojową Nagrodę Nobla.

Kiedy już znudziło mi się koncertowanie, osuszyłam prędko ciało i założyłam przygotowane wcześniej ubranie. Na wieczór zaplanowałam fryzurę à la mokra włoszka, więc darowałam sobie robienie czegokolwiek z włosami. Owinęłam je jedynie ręcznikiem, tworząc na głowie coś na kształt turbanu, żeby nie zamoczyć sukienki. Następnie wklepałam w twarz naręczę kremów, które miały zapewnić mojej skórze jędrność pupci niemowlaka, a chwilę później pokryłam to wszystko warstwą makijażu, która miała pozbawić moją pupcię niemowlaka piegów i innych niedoskonałości.

Gdy kończyłam malować oczy, w pokoju rozległ się dzwonek telefonu. Nie była to melodyjka z mojej komórki, tylko takie klasyczne dryndanie jak w starych aparatach z tarczą numerową.

Zaciekawiona, opuściłam łazienkę i zlokalizowałam źródło dźwięku – przedpotopowy telefon stojący na małym biurku w rogu pomieszczenia. „Ki diabeł?” – pomyślałam, ale że lichy mi niestraszy, doskoczyłam do niego w trymiga i odebrałam.

– Halo? – rzuciłam do słuchawki.

– Dobry wieczór, signorina – wybrzmiało po angielsku z drugiej strony. – Mam na imię Leonardo i dzwonię z hotelowej restauracji. Mój kolega Alessandro poinformował mnie, że otrzymała pani zaproszenie na dzisiejszą kolację. Chciałbym omówić parę szczegółów. Czy mogę pani zająć chwilkę teraz, czy raczej oddzwonić później?

– Ale jakich szczegółów? – zdziwiłam się.

– Chodzi między innymi o ustalenie, o której godzinie pojawi się pani w restauracji, czy przybędzie pani sama, czy w towarzystwie drugiej osoby, czy woli pani różowego, czy białego moëta, czy ma panią przywitać tatar z łososia, sałatka z przegrzebków czy bruschetta z wątróbką, jakie danie główne ma przygotować nasz szef kuchni: risotto szparagowe z kotlecikami jagnięcymi, makaron penne z sosem pomidorowo-bazyliowym i klopsikami czy może tradycyjną sycylijską pizzę oraz jakim deserem się dziś z panią pożegnamy: obłędnym tiramisu, wartą grzechu panna cottą czy wysmienitym gelato.

– O matko! – wypaliłam, kiedy Włoch wreszcie skończył wycieczkę. Zawirowało mi od niej w głowie i aż przysiadłam na brzegu łóżka, żeby nie upaść z wrażenia. Po krótkim namyśle zapytałam: – A czy nie mają państwo jakiejś opcji typu „szef kuchni poleca”? Chętnie zdam się na wyczcucie profesjonalisty.

– Oczywiście, jak sobie pani życzy. Ustalmy jeszcze zatem porę startu kolacji oraz to, czy ktoś będzie pani towarzyszył.

Otwierałam właśnie usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedził mnie mój brzuch. Wydał z siebie tak przeciągłe burczenie, że

gdym to ja była po drugiej stronie słuchawki, z pewnością bym ją upuściła. Dopóki Leonardo nie napomknął o jedzeniu, kompletnie nie odczuwałam głodu, ale recytując kartę dań, nieszczęśnik otworzył Grażynkową puszkę Pandory...

– Halo? – odezwał się niepewnie po chwili. – Wystąpiły chyba jakieś zakłócenia na linii. Czy mogłaby pani powtórzyć?

Nie mogłam, ponieważ mikrofon ponownie został przejęty przez mój pusty żołądek. Chcąc jakoś zahamować nieznośne burczenie, spięłam mięśnie brzucha. Jak się okazało ułamek sekundy później, było to najgorsze, co mogłam uczynić. Kiszki co prawda marsza grać przestały, ale zamiast nich odezwała się inna część mojego ciała – a o tym, jak głośno to zrobiła, niech świadczy fakt, że odrzut uniósł mnie o jakieś dziesięć centymetrów.

– Halo? – Leonardo ponownie spróbował przebić się przez odgłosy moich wnętrzności. – Czy wszystko w porządku? Czy potrzebna pani jakaś pomoc?

Biedak musiał zachodzić w głowę, co też się u mnie wyprawiało. Pewnie pomyślał, że spadła na mnie szafa albo coś w tym stylu. Na szczęście brzuch chyba chwilowo dał sobie na wstrzymanie, więc tym razem zdołałam odpowiedzieć.

– Nic mi się nie stało. Przepraszam, to jakieś hałasy zza okna – skłamałam, a następnie przestoniłam lekko dłonią słuchawkę i ryknęłam w stronę wymaganych przeszkadzających: – Cicho tam! Człowiek własnych myśli nie słyszy!

– Och. – Włoch się zatroskał. – W imieniu hotelu najmocniej przepraszam za niedogodności. Jak tylko się rozłączymy, poślę do pani kolegów z ochrony.

– Nie, nie – odpowiedziałam pośpiesznie. – Już sobie poszli. Nie trzeba.

– Dobrze. – Mój rozmówca wyraźnie odetchnął z ulgą. – Wróćmy zatem do naszej rozmowy. Mówiła pani, że przyjdzie sama, tak?

Ledwo powstrzymałam się przed parsknięciem śmiechem. Nie spodziewałam się, że moje jelita znają angielski. „A może odpowiedziały mu po włosku?” – zadumałam się.

– Halo? – Leonardo wytrwale nie dawał o sobie zapomnieć.

– Tak, tak, już jestem, przepraszam. – Otrząsnęłam się z zamyslenia. – Obawiam się, że faktycznie przyjdę sama. Miałam iść z mamą, ale niestety się pokłóciłyśmy.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Na wszelki wypadek przygotowujemy jednak dwa nakrycia. A o której możemy się pani spodziewać?

Odruchowo spojrzałam na zegarek. Było równiutko wpół do siódmej. Następnie spojrzałam na swój brzuch. Kiedy zorientowałam się, że czekam na odpowiedź, wydał dwa krótkie, ciche burknięcia. Nie potrzebowałam tłumacza, żeby go zrozumieć.

– W ile minut można pokonać dystans z mojego pokoju do restauracji? – zapytałam.

– Myślę, że to będzie jakies... – Włoch zrobił krótką pauzę, po czym wystrzelił odpowiedź – siedem minut.

– W takim razie przyszląbym na... – zawahałam się – czy siódma trzydzieści osiem to będzie za wcześnie?

Po drugiej stronie słuchawki dało się słyszeć przeciągłe westchnienie, ale zaraz po nim Leonardo odezwał się tym samym uprzejmym głosem co do tej pory.

– Klient nasz pan, proszę pani. Pozwolę sobie zatem zakończyć naszą rozmowę i poinformować szefa kuchni o rychłym przybyciu ważnego gościa. Dziękuję i do usłyszenia.

Nie zdążyłam się pożegnać, ponieważ mój rozmówca odłożył słuchawkę. Posiedziałam przez chwilę w miejscu, próbując przetrwać, jak to się stało, że ni stąd, ni zowąd zostałam VIP-em, ale ponieważ mój brzuch ponownie zabrał się za swoje operowe arie, zerwałam się z łóżka, odłożyłam słuchawkę na widełki,

zgarnęłam ze stołu torebkę i praktycznie wyfrunęłam z pokoju. Na myślenie jeszcze przyjdzie czas. Teraz nie liczyło się nic oprócz zaspokojenia trawiącego mnie wilczego głodu.

Trzeba przyznać, że Leonardo był dobry w swoim fachu. Droga rzeczywiście zajęła mi tyle, ile przewidział, i przed designerskimi metalowymi drzwiami do lokalu pojawiłam się siedem minut po opuszczeniu pokoju. Długo się nie zastanawiając, chwyciłam za klamkę i weszłam do środka.

– *Buona sera* – tuż za progiem przywitał mnie mężczyzna w ciemnym garniturze.

Odniosłam wrażenie, że skrzywił się na mój widok, ewentualnie uśmiechnął półgębkiem – trudno orzec, ponieważ zmiana wyrazu jego twarzy trwała tylko ułamek sekundy.

– Dzień dobry – przeszłam na angielski.

– Proszę za mną – zachęcił, a następnie ruszył korytarzem w głąb restauracji.

Poszłam jego śladem, rozglądając się zachłannie to w lewo, to w prawo. Wnętrze lokalu prezentowało się bosko – bardzo nowocześnie, ale i przytulnie. Minęliśmy główną salę, w której przy kilku stolikach ucztowała garstka gości, i zatrzymaliśmy się dopiero paręnaście metrów dalej – przed zwisającą z wysokiego sufitu kotarą w kolorze czerwonego wina.

– Zapraszam. – Mój przewodnik uchylił połę materiału i wskazał dłonią, żebym weszła.

Kiedy to uczyniłam, zasłona opadła z powrotem, a ja znalazłam się w przestronnym pomieszczeniu, pośrodku którego stał zastawiony najprzeróżniejszymi przystawkami stół. Obok jednego z dwóch ustawionych przy nim istic królewskich krzesel przeżył się niesamowicie przystojny kelner. Trzymał tacę z dwoma kieliszkami wypełnionymi czymś musującym. Uśmiechnęłam się

przyjaźnie, spodziewając się, że mężczyzna odpowie podobnym gestem. On jednak skrzywił się – dokładnie tak jak odźwierny pół minuty wcześniej, tylko na nieco dłużej. Kompletnie zbita z pantaląku, już miałam pytać, o co chodzi, ale kelner mnie ubiegł.

– Najmocniej przepraszam – odezwał się z troską w głosie – ale chyba powinna pani skorzystać z toalety.

Instynktownie złapałam się między nogami, obawiając się, że niedawne zabawy z Panem Różowym pozostawiły po sobie jakieś dowody zbrodni. Kiedy chwilę później dotarło do mnie, że właśnie publicznie zmacałam swoje krocze przed kompletnie nieznanym człowiekiem, odwróciłam się na pięcie i paląc raka, wypłynęłam przez kotarę na zewnątrz.

– Ręcznik! – krzyknął za mną kelner.

Zanim zrozumiałam, co miał na myśli, zdążyłam już uciec w popłochu kilka dobrych metrów. Roztrzęsiona, chwyciłam spinający mi włosy kawałek materiału i rzuciłam go w złości przed siebie. Traf chciał, że zza winkła wychylił się akurat jakiś mężczyzna i mój ręcznik zatrzymał się dokładnie na jego twarzy.

– *Cazzo!* – ryknął nieznanomy.

W mgnieniu oka zrzucił z siebie tkaninę, a potem zrobił coś, co mnie zamurowało – wyjął zza paska pistolet i wycelował prosto między moje oczy. W trakcie dwóch sekund, które minęły, zanim osunęłam się zemdlna na podłogę, zdążyłam zaobserwować, że początkową złość w jego spojrzeniu błyskawicznie zastąpiły zaskoczenie oraz niedowierzenie.